

Marek Troszyński

Mieczysław Kamieński - testament żołnierza

Wiek XIX : Rocznik Towarzystwa Literackiego imienia Adama Mickiewicza 2
(44), 238-251

2009

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach
dozwolonego użytku.



Grób Mieczysława Kamińskiego na cmentarzu Montmartre.

EDYTORSTWO

Marek Troszyński

Warszawa

MIECZYŚLAW KAMIENSKI – TESTAMENT ŻOŁNIERZA

Po burzliwej młodości powrócił do Paryża, mieszkał przy Saint-Lazar 54, był jednym z nas, znaleźliśmy go, widywaliśmy. A potem gdzieś zniknął i przyszła wieść, że pojechał walczyć o wyzwolenie Włoch, a niewiele później o jego śmierci.

Norwid¹ zachwycił się testamentem dwudziestosiedmiolatka, który na łożu śmierci obdarza drobiazgami wszystkich, pamięta nawet o służącej, ale największy dar – dar wiary, którą odzyskał w obliczu Nieznanego z całą siłą i przekonaniem odchodzącego z tego świata zostawia najbliższemu przyjacielowi, Feliksowi. Bo teraz wie już na pewno, bo w jednym błysnieniu ukazał mu się fałsz wspólnie układanych sofizmatów, królestwo hardego rozumu pękło i rozwalilo się w gruzy.

Na cmentarzu Montmartre, nieopodal grobu Słowackiego spoczywa Mieczysław Kamiński. Naturalnej wielkości rzeźba przedstawia ubranego po cywil-

¹ Pisał w liście Do Seweryna Gałęzowskiego [Paryż, październik? 1859]: „Jak z czasem w Emigracji dojdziemy do pojęcia prawd-ojczystych i szczerze żyć będziemy chcieli, to Testament młodego Mieczysława Kamińskiego będzie czytany publicznie w szkołach polskich przez księdza, który daje lekcje religii, albo przez profesora greckiego i łacińskiego języka, który wykłada autorów starożytnych: Plutarcha lub Tacyta. Z powodu iż jako uczucie chrześcijańskie obowiązków syna, kolegi, młodzieńca i Obywatela jest wzorem żywym. Tudzież jako uczucie heroizmu jest niemniej plutarchicznej wartości ustępem. Ale – kiedyż szkoły wyjdą z atramentu i uszanują krew, zamiast litery martwej!!!” (C. Norwid, *Pisma wszystkie*, red. J. W. Gomułicki, t. 11, Warszawa 1976, s. 644-645).

nemu chłopaka z bujną czupryną, w pozycji półleżącej, podpierającego się ramieniem, z głową lekko odchylną do tyłu. Pod zgiętym kolanem szabla, to gest od czasów Rolanda dobrze znany, choć przecież Kamiński walczył bronią palną, a gdy przyszło do ataku, i trzeba było strzelać, to... – wszystko opowiedział później ojcu, powiedział szczerą prawdę, i w ogóle nie było mu żal, że tak się stało, jak się stało.

Krótkiego życia syna starczyło akurat na akapit w biogramie ojca w *Polskim Słowniku Biograficznym*; oto on:

W r. 1859 K.[amiński] przeżył boleśnie śmierć jedyne go syna Mieczysława (ur. 1832), który próbował kariery wojskowej i marynarskiej, a pisał też po francusku felietony i drobne utwory satyryczne. Zaciągnąwszy się na ochotnika do służby francuskiej, zmarł z ran odniesionych w bitwie pod Magentą. Skromną jego spuściznę literacką zebrał ojciec w tomiku pt. *Souvenirs de voyage et de guerre*, Paris 1861².

Ojciec, weteran powstania listopadowego, towiańczyk, bliski znajomy Słowackiego, Mickiewicza i Norwida, sam próbował sił w literaturze, ale był przede wszystkim – żołnierzem! Wspomina Teodor Tomasz Jeż, jak ucieszył się pułkownik Kamiński spotkawszy go po latach przypadkowo na bulwarze włoskim w Paryżu:

– Ah! dobrze, zem cię spotkał... – zawołał, dłoń mi ściskając. Mam ci parę słów powiedzieć.

I mówił mi o używaniu w ataku lancy³.

Trzy miesiące po stracie syna, w rocznicę powstania listopadowego, ojciec pisze tekst, w którym próbuje osaczyć szarpiące emocje. Ucieka w moralizujące rezonerstwo, pisząc o korzyściach i naukach, płynących z towarzyszenia umierającemu, w patos patriotycznej retoryki. Znać też ślady towianizmu w dygresjach o wyższości sił duchowych nad materią. Konający syn powraca w filmie życia ojca wyrzucającego sobie, że tak mało znał syna, że jego własne dziecko taką było dla niego tajemnicą! Ale jak go miał znać, kiedy bardziej niż rodzinie poświęcił się służbie ojczyźnie, a synowi sam dał m.in. przykład uczestnictwem we włoskiej kampanii 1848. Po jedenastu latach syn poszedł w ślady ojca. Ale w porównaniu z tamtymi potyczkami, bitwa pod Magentą (i następna pod Solferino) przeszły do historii jako krwawe rzezie. Dość wspomnieć, że

² Hasło oprac. S. Kieniewicz. *Polski Słownik Biograficzny*, t. 11, z. 51, Wrocław 1965, s. 546.

³ Z. Miłkowski (T. T. Jeż), *Mikołaj Korwin Kamiński*, w: tegoż, *Sylwety emigracyjne*, Kraków 1988, s. 195.

właśnie po tych bitwach utworzono dla opieki nad rannymi organizację Czerwonego Krzyża.

Do opieki nad rannym 4 czerwca 1859 Mieczysławem odstawionym do szpitala w pobliskim Mediolanie zjechali z Paryża rodzice. Trudno sobie wyobrazić koszmar współuczestnictwa w trzymiesięcznym konaniu jedyne go syna... Uciekające życie, świadomość bliskiej śmierci, łączywa próba kontaktu, nadrobienia zaległości straconych lat i gorzka konstatacja ojca piszącego: „Ja, który go nie znałem”... Tekst jest także świadectwem kół ratunkowych podrzucanych przez psychikę – ucieczek w tematy poboczne. Jedną z ostatnich dygresji są roztrząsania wojskowego na temat taktyki przyjętej przez dowódców batalii, która okazała się dla syna tak nieszczęśliwą. Jednak ojca – zawodowego żołnierza korci pytanie: jak to jest, będąc cywilem, tak nagle, odstawiwszy niedopitą kawę w paryskiej *brasserie* za kilka dni – iść, i strzelać do ludzi?!

Odpowiedź syna na to ojcowskie pytanie stanowi mocną puentę pozornie niedokończonego, krótkiego tekstu...

Tekst znajduje się w Bibliotece Polskiej w Paryżu (BPP 480, s. 1497-1519). Kierownicze Działu Archiwum, Pani Ewie Rutkowskiej dziękuję za życzliwe udostępnienie mi wysokiej jakości kopii cyfrowych tego rękopisu.

W niniejszej edycji zmodernizowano pisownię, zachowując osobliwości leksykalne („spółczucie”, „zatwardniały”, itp.). Tam, gdzie było to możliwe za pomocą niewielkich zmian (uzupełnień bądź opustek) poprawiono styl, zawsze zaznaczając ingerencję.

Zbiór tekstów Mieczysława Kamieńskiego, o którym mowa w notce PSB, został opublikowany niedawno jako reprint⁴. Książka ta zawiera m.in. również francuską pełną i dokończoną wersję publikowanego niżej jako *ineditum* oryginalnego tekstu polskiego. Może dodać warto, że Mieczysław język polski znał bardzo słabo, o czym świadczy pewnie i tak już podszlifowany językowo przez ojca polski wiersz syna:

Jak los rozrządził tak się więc i stało;
Kres ziemskiej drodze, kres ludzkiej rozpaczy
Niech obca ziemia zwłoki me pokrywa!
Nie znając Polski, kochałem za mało:

⁴ *Miecislav Kamienski tué à Magenta. Souvenir*, Adamant Media Corporation, 2007.

Błagalnej duszy winy Bóg przebaczy
 Dziś duch mój do niej na przemian się zrywa;
 Wszystko składam jój w ofierze:
 Łzy moje, krew, ból, męczarnie;
 I spokojny w tej odchodzę dziś wierze,
 Że Bóg miłością lud polski ogarnie⁵.

Mikołaj Kamiński

Krótkie życie, długa boleść i trzymiesięczne konanie syna jedyne

Paryż dnia 29 listopada 1859 roku.

Są cierpienia i boleści serca tak wielkie, że to, co dusza prawdziwie czuje, tego pismem wyrazić niepodobna, i często uczucia serca i te subtelne odcienia duszy tracą prawdziwą barwę przeniesione na papier. Lecz, z drugiej strony, słowa gasną z życiem, przez ustne podania przekształcają rzeczywistość; i dlatego ja, nieszczęśliwy ojciec, pragnę skreślić to com czułem, com widziałem, com kochałem, i na koniec czymem się pocieszałem, będąc razem z żoną nieodstępnym towarzyszem konania mego syna, naocznym świadkiem jego cierpienia, jego odwagi, jego dojrzałości uczuć i serca. Ja, który go nie znałem śmiało wyznać muszę przez lat dwadzieścia, albowiem był on dla wszystkich niepojęty. Inaczej się ukazywał przed ludźmi, inny zaś przed sobą samym i w sobie. Lekki na pozór, ukrywał [w] głębokości na samym dnie duszy swojej skarb szlachetnych uczuć – starodawną odwagę – i takowy w wielkich zdarzeniach dla siebie tylko odkrył. Wylał go całkowicie dla sprawy ludzkości; spokojny i szczęśliwy w Bogu przeniósł się do wiecznej Ojczyzny.

Ojczyzny... wielki Boże! na ziemi dawno mi ją odjąłeś. Jeszcze jedno słowo, które mi pozostawało, słowo które syn mój przy skonaniu, na pół żywym głosem powtarzał, pragnąc złagodzić moją rozpacz: „cicho ojcze, biedny ojciec, *soutenez, mon Père*”, i to ostatnie słowo pociechy woła Twoją świętą zgąsto na ustach mojego syna... O Panie! dałeś mi wypić do dna całą moc gorczy tego żywota, dajże przez łaskę Twoją, prędkie połączenie się w wieczności z tym, który

⁵ Cyt za: *La mort d'un Soldat récit des derniers moments de Miecielas Kamienski Blessé à la bataille de Magenta et décédé à Milan, le 3 septembre 1859, Paris 1861.*

Cię tak gorąco zapragnął, że ziemia w niczym ani go pocieszyć, ani zaspokoić już nie mogła.

Ileżby dla nas przybyło światła i duchowej nauki, gdyby kapłani [obecni] w ostatnich chwilach umierającego chcieli nam udzielić przedostatnie jego myśli, słowa, dążenie, spowiedź życia całego, pragnienie żywota lepszego; lub czepianie się (przez bojaźń i wstręt do śmierci) ziemi, która zdaje się być dla niskich usposobień całym szczęściem, całym życzeniem, końcem. O jakże byśmy więcej z tych licznych przykładów śmiałej lub lękliwej śmierci korzystać mogli, niżeli z wzniosłych nauk, często dla wielu niedostępnych, [...] niezrozumiałych lub kazań przygotowanych. Albowiem każda myśl umierającego, każde słowo przed rozstaniem się jest dyspozycją, testamentem dla pozostałych. Nie jest teorią, lecz prawdą na pół do wieczności należąca, przykładem, nauką, naśladowaniem lub trwogą, bojaźnią i wstrętem. Cóż więcej może uspokoić na ziemi, usposobić do nieśmiertelności, jak moment solennego rozdziału, czyli wyjścia duszy z więzienia ciała do życia wiecznego?! Śmierć sprawiedliwego, nawet śmierć niepoprawnego zbrodniarza wielu zbawić może, wielu poprawić i nauczyć.

O lekarzach nie wspomnę; albowiem oni ograniczają się dotąd na poznanie ciała, nauka ich nie ma dotąd na celu jak materię. Przyjdzie czas że lekarz duszy będzie zarazem lekarzem ciała, i nawzajem.

Rozdział I

Mieczysław Kamiński, urodził się na wygnaniu, we Lwowie, podczas przechodu naszego do Francji. Zostawał przy nas od kolebki, przenosząc się z miejsca na miejsce, z kraju do kraju; spod jednego słońca pod drugie, szukając tych promieni, które by mu utraconego słońca jego ojczyzny przypomnieć mogły. Albowiem ten, co utraci byt polityczny, nie ma pokoju; całe życie jego jest pasmem marzeń, chorobą ducha, pragnieniem odzyskania skarbu, który utracił. Słowem – niepokój wszędzie go ściga, wszystko mu jest obojętnym, każda – nawet drobna nadzieja – rzeczywistością, chwytą się wszystkiego. Ojczyzna jest to cień jego ciała, który za nim, jak tylko słońce zabłyśnie, ciągle postępuje. W południe bliskim się on na pozór wydaje, przy zachodzie rozciąga się nieskończenie, a z zachodem słońca idzie w nieskończoność.

W Lozannie, gdzieśmy rok przebywali, był on pieczęcią wszystkich osób przechadzających się na Montbenon. Jedna dama francuska koniecznie nas prosiła zrobić jego portret. Myśmy radzi zezwolili, a on sam sobie wybrał postawę *à la* Napoleon, rączki skrzyżowane na piersiach, oczęta w górę podniesione, wymawiając zarazem pamiętne słowa: *Du haut de ces pyramides quarante siècles*

vous regardent! Ten wizerunek we czterech latach życia zrobiony, wraz z innymi późniejszymi święcie strzeżemy.

We Florencji, gdzie przez trzy lat przebywaliśmy, nauczył się po włosku jakoby był Włochem urodzony. Chował się z rówieśnikami swymi krewnymi Stefanem i Władysławem Potockimi, do nich przyłączył się młody Rohan. Razem chodzili na pensją, która dla niego młodszego od innych towarzyszy była więcej rozrywką jako nauką.

Widać, że od urodzenia cierpienie i boleść były jego udziałem i przeznaczeniem. Raz biegnąc po ogrodzie na pensji z innymi chłopczykami, goniąc za którymś, w rozpędzie uderzył o drzwi szklane i całkiem przeciął arterię prawej ręki. Krew strumieniem uchodziła. On pobiegł sam pod fontannę i z całą zimną odwagą, do zadziwienia w tak małym dziecku, opłukiwał krew uchodzącą, nim przybiegli dozorczy i ścisnęli ranę. Posłano po doktora, a mnie natychmiast dał znać profesor. Pospieszam i zastaję w łóżku moje biedne dziecko, kapiące się we krwi. Na twarzy białe jak alabaster, oczęta podniesione do nieba i z uśmiechem na usteczkach witające ojca. Doktor medycyny, chociaż jeden z najpierwszych, lecz nie będąc chirurgiem, czyli nie mając tego w używaniu, nie wiedział, jak w tym gwałtownym razie sobie postąpić. Nie mogąc zatamować krwi, która mimo ściśnienia ręki ciągle upływała, posłał szukać chirurga. A dziecinnie tym czasem słabło, bladło, i drżącym głosem, po włosku, pytało doktora „Powiedz mi pan, bardzo proszę, czy ja mam umrzeć lub czy pan mnie uratujesz? jeżeli muszę umierać, to niech zaraz mnie z łóżkiem przeniosą do mamy, ja pragnę mamę pocałować. Jeżeli zaś mogę żyć, to proszę mnie pozostawić tutaj, gdyż mama umrze – jak mnie zobaczy”. Nie wstydzę się wyznać, że słysząc tak mówiące moje dziecko, ja stary i zatwardniały żołnierz – trzy razy padłem zemdłony.

Gdy z dziecka wyrastał na chłopczyka, żywy temperament, wesoły i niewinny uśmiech, dodawał coraz więcej powabu jego pięknej urodzie. A co najwięcej krasilo wyraz jego twarzy, to to, że się chlubił i był prawie dumny ze swojego urodzenia i położenia. Syn wygnańca i żołnierza słyszał on i widział w pierwszych latach żywota jak wszystkie narody podziwiałały, a nade wszystko lud francuski wysoko pojął i uczuł naszą ostatnią walkę o niepodległość, nasze nieszczęścia i poświęcenie. Naród ten starał się mową i czynem okazać nam wielką życzliwość i szczerę spólczyć, tak że imię Polaka stało się popularnym we Francji. W każdej prawie chacie rolnika, znaleźć można było wizerunek Napoleona, a obok niego śmierć Poniatowskiego rzucającego się w Elsterę. Słowem, że przybywając do Francji znaleźliśmy dwie wielkie idee, które poruszały całą rzeźkość i umysł Francuzów, to jest: Napoleon i Polska. Dwie, że tak powiem, mary, jak cień Hamleta dzień i noc niepokoiły i przerażały Króla Filipa.

[...] Zdawało się młodej duszy syna wygnańca, że to uczucie będzie z czasem wzrastało, że to co jest prawym, czystym i sprawiedliwym – zatartym być nie może. Że raz poczęta myśl braterska dla narodu niewinnie cierpiącego krzewić się będzie z następnym pokoleniem. Że imię Polaka wygnańca posłuży mu do przyszłych jego nadziei, do rozwinięcia jego sił i uczuć, i tym samym stanie się szczeblem do trudów i pracy w usługach tak publicznych [jak] i prywatnych, wiodących do ostatniego celu, najwyższego życzenia, to jest do niepodległości, do odzyskania bytu politycznego.

Lecz trudno walczyć z myślą Boga, niepodobna oprzeć się przeznaczeniu. W miarę jak wzrastał na młodzieńca – zmniejszała się [we Francji] sympatia dla Polski. Starzy towarzysze jego przodków, jego rodziny, weterani Cesarstwa pierwszego, którzy krwią wojen byli z nami zbratani, następnie jedni po drugich do grobu schodzili. Nowe pokolenie wzrastało a z nim niewiadomość, nawet zapomnienie o naszej przeszłości. Do tego widoki polityczne, związki międzynarodowe, pieniądze trzech naszych zaborców hojnie rozdawane publicystom by imię Polaka zniweczyć, sprawę jego, nadzieje i cierpienia kałem obrzucić i pokazać niewiernym, że Polska raz grobowym kamieniem przyciśnięta na widownię świata nie wyjdzie i nie zamąci już ich sumienia. Wszystkie te podziemne działania nie miały innej pobudki, jak oziębic i zobojętnic uczucie Francji dla nas. Wtedy prawo, którym nieżyczliwie rządzący zasłaniaли się, stanęło młodemu Mieczysławowi przegrodą nieprzebytą. Wszędzie młode i gorące uczucia duszy i serca, w zawodach do których się chwycił, z drogi spychało.

I tak wszedł za protekcją przyjaznej mu rodziny Montabello do szkoły wojskowej [w] La Flèche; gdzie, po czteroletnim pobycie, gdy miał przejść do szkoły St. Cyr wystąpiło prawo na przeciw niego i rzekło: nie można, nie urodziłeś się Francuzem.

Mniemał on, że mozołem i staraniem, zaczynając od najniższych stopni marynarki potrafi uprawnić swoją służbę. Uzyskał wpis na majtka – sądząc że minister raz go upoważniwszy nie przeszkodzi dalszemu jego rozwojowi – i wstąpił na pokład trzymasztowego statku kupieckiego. Zrobił ciężką podróż do Brazylii, Chile, Meksyku, Peru, itd., przebywając z wielkim niebezpieczeństwem cieśninę Cap Horn, gdzie okręt przez sześć tygodni w lodach zostawał, pozbawiony znacznej części żywności. Znosił on wszystkie trudy z wytrwałością jemu właściwą w nadziei że znajdzie stan, w którym zdolności wrodzone potrafi rozwinąć i zastosować. Wracając dostał żółtej febry w Baya. Już koledzy jego uszyli byli worek, w którym ciało wygnańca miało być rzucone w głębiny morza. Lecz śmierć jeszcze go wtedy szanowała, jak sam się wyraził *la mort avait peur de moi*. Po powrocie do Europy, gdy zażądał przejść na okręt rządowy *comme aspi-*

rant volontaire minister był zmieniony, a prawo znów wyrzekło: nie możesz – bo nie urodziłeś się Francuzem.

Rozdział 2

Smętek wsiąknął do dna duszy jego; nic go – mimo pozornej wesołości – pocieszyć nie mogło. Uważał się jako parias bez żadnej narodowości, że nosi na sobie piętno nieszczęścia i zaczął, po raz pierwszy, złożyć losowi swojemu. Co najwięcej dodało tęsknoty, to zażyłość z wielu osobami bogatymi związkiem rodzinnym połączonymi, które obcując z nim, przedstawiały widokiem swym położenie ludzi szczęśliwych, opływających we wszystko, i które często żartem, wyznać musimy, w poufalej rozmowie, nazywały nas starych szermierzy wolności, *hommes sans terres, chaire à canons*, ludzie bez ziemi, mięso dla harmat.

W młodym wieku, jak raz tęsknota zawita do serca, to już nie znika. W pięknej i czystej duszy usposobienie do smętku, chociaż z ziemskich powodów czerpane, wyrabia zawsze zimną obojętność do wszystkiego, co jest przemijające, znikome, a ciągnie jakby siłą nieprzerwaną do życia przyszłego, do krainy z której wyszła, do Ojczyzny, której żaden nieprzyjaciel wydrzeć nie zdoła.

Żądał i wołał do Boga o boleść, i to wyraził w wierszach po francusku napisanych we Freiburgu (*Pensées solitaires. Invocation à la douleur. Rêveries*), gdzie się spuścił do lochów o 2000 stóp głębokości i tam przez rok cały ucząc się mineralogii przebywał. Pragnął on miłości – serce jego nie mogło długo zostawać samotnym. Pragnął połączyć się sakramentem małżeństwa, w którym ściśle wypełnianie obowiązków dałoby mu zasługę w tym życiu i przyszłym. Nade wszystko życzeniem jego było zająć się sumiennie wychowaniem rodziny, naprawiając w niej to, co w swoim uważał za szkodliwe. Kochać jest to wielkie i sakramentalne słowo. Miłość jest drogą do nieba, gdyż Bóg sam będąc najwyższą prawdą zarazem jest najwyższą miłością. Nieszczęśliwy, kto daru miłości nie przyniósł z sobą. Nieszczęśliwszy, kto go za żywota nie wyrobił.

Szczególne rzecz, że młody człowiek, którego natura hojnie przydziła, który ze wszystkich względów mógłby zrobić szczęście tej, która by się stała jego żoną – temu właśnie najtrudniej w dzisiejszym wyrachowaniu małżeństwa – ożenić się. Lubią go, przyjmują go matki chętnie i z rozkoszą wtedy, kiedy ich córki są za młode i na pensji zostają. Lecz gdy która żona taką ma córkę na wydaniu, oddalają ją od wszelkiego spotkania z poczciwym młodym człowiekiem, którego by ona szczerze duszą i sercem pokochać mogła. Im wyższy uczuciem i urodą, tym więcej staje się dla nich niebezpiecznym. Albowiem podług ich usposobień i rachub, małżeństwo jest to targ, miłość – marzenie. Pozycja światowa, pieniądz – wszystkim. Biedny świat.

Czuł to młody Mieczysław, znał wartość moralną pięknie rozprawiających o miłości matek, i dlatego ich unikał jak tylko która z ich córek pokazała się na świat, który nazywają modnym. Lecz trudno uniknąć tego, do czego serce młodego ciągle woła. I ta próba go nie ominęła, z zapalem pokochał. Lecz ponieważ nie umiał i nie mógł nic działać w połowie, dlatego wyższe uczucia i czyny były dlań niebezpiecznymi. [Gdy] raz zapora przerwana – działalność ducha nie zna granic. Jak pocisk siłą gazu pchnięty leci, by w cel uderzyć, lub w ziemię się wkopać, tak też on nie znał miary w poświęceniu i dlatego padł jako ofiara czy sta i piękna, którą Bóg od dawna dla siebie przygotował.

Dusza zbolała, serce obojętnością i samolubstwem osób najbliższej jego położonych zdeptane, czekało i pragnęło momentu, by w pierwszej pocziwej sprawie chwycić jako żołnierz za oręż i walczyć, jeśli nie za swoją wolność, to przynajmniej za wolność ludu uciskiem z nami zbratanego.

Pierwszy przykład w dziejach starożytnych jako i dzisiejszych, aby przewodzca wielkiego narodu jawnie oświadczył, że staje na czele wojska, wydaje wojnę, nie dla podbojów lub miłości własnej obrażonej (jak to dawniej często bywało) lecz za niepodległość ludu uciśnionego i za jego narodowość.

Słowo „narodowość” przebiegło jako iskra elektryczna przez całe jestestwo młodego Mieczysława. Wpada do mnie i rzeknie: „Ja jadę, ojczy! Wojna o narodowość. Wszakże i Polska była starym narodem, kolej i na nią przyjsć musi. Ja pragnę tymczasem walczyć za tę świętą sprawę za którąś ty, ojczy, dziesięć lat temu tyle krwi wylał. Ojczy, nie wstrzymuj mnie. Uspokóymy matkę i daj wolność mojemu popędowi.”

Nie pragnął on przyjąć stopnia oficera w wojsku włoskim; przekonany, że nazwa żołnierza francuskiego więcej mu nada znaczenia i wewnętrznej wartości, jak stopień nie przez zasługę, lecz za wstawieniem się nabyty. A razem chciał dać naukę młodej szlachcie naszej za stopniami ubiegającej się, że chwała żołnierza, trud i poświęcenie wyżej go stawia od wielu oficerów, dla honoru i awansu częstokroć zaciągających się do wojska.

W wojnie o niepodległość włoską zwycięstwo i prawdziwa zasługa żołnierzom się należy, którzy pomimo planu Jenerałów, samą niesłychaną dzielnością wygrywali stanowcze bitwy.

Pierwszy pułk, który napotkał na drodze wiodącej do wstępnego boju był pułkiem jego wyboru. Szedł jako prosty grenadier z powodu słusznego wzrostu. Ujął za karabin, rzucił z lekkością na ramiona matelzak z pakunkiem ważącym 65. funtów i tak rześko pełnił służbę, jakby kilkanaście lat zostawał w szeregu. Oficerowie dziwili się z początku determinacji młodego paryżanina nagle odebranego od wygod i przepychu stolicy świata lecz tym bardziej szanowali jego

poświęcenie. Żołnierze zaś patrząc na odwagę i wzdargę śmierci pokochali go szczerze, po bratersku, bez zazdrości, pomimo że od razu wszedł do kompanii wyborczej.

Od początku jak się zaciągnął, batalion jego pełnił służbę forpocztową. Mieczysław, znając szkołę żołnierza, nawet szkołę batalionu jako dawny uczeń La Flèche, nie dał się w niczym naganić. Z wygód stolicy dostawszy się do obozu, pośród mokrych jezior i deszczów, przez kilka dni służby tak zahartował ciało, że ani pakunek który nosił na sobie, ani karabin nic mu prawie nie ciążyły. Ostrzelany z nieprzyjacielem, którego widział rzeką przedzielonego, pragnął spotkać się z nim jak najprędzej oko w oko.

Marsz z Voglieri do Vercelli, marsz w którym podwojono etapy dla uskutecznienia planu, którego celem było podejść nieprzyjaciela z prawego jego skrzydła wtedy, gdy tenże mniemał, że cała siła Francuzów na lewym jego skrzydle, koło Voglieri i Aleksandrii zmasowana. Pochód ten forsowny, nie mógł być z dokładnością na czas naznaczony wykonany z powodu, że korpusa napotkały liczne przeszkody, które im nie dozwoliły zebrać się w całym komplecie nad rzeką Tessin. Korpus Mac-Mahona złożony ze starych afrykańskich pułków nawykłych do gwałtownych marszów znalazł się w wilią bitwy, to jest dnia 3. czerwca, około mostu Magenta i tam zabrawszy 12. dział, poprzecinawszy podkopane miny batalion Mieczysława pod dowództwem pana de Grammont, na arkadach mostu kilka godzin użył snu i spoczynku. Jeszcze na kilka dni przed śmiercią mówił on matce: „Ty kochana matko wrócisz do Paryża, będziesz przejeżdżać przez most Magenty. Spójrz na drugą arkadę tego mostu – tam ja, znużony marszem, najmilszym snem usnąłem. Nie wiedziałem, że to był ostatni mój sen, gdyż ty wiesz, jako ja teraz śpiam.”

Opowiadał on że wszystkie trudy żołnierza z pełną wesołością i zaspokojonym znosił, i – jako żołnierz – prawdziwie znalazł się szczęśliwym. Razu jednego, gdy przemaszerował w nocy do Vigevano, i znużony zabierał się rozkładać swój namiot, *tente d'abri*, Adiutant wyznaczył go z trzema innymi, by szedł przyprowadzić woły, które nie mogąc pospieszyć za pułkiem daleko z tyłu zostały. To, jak powiadał, było mu bardzo nieprzyjemne, lecz nie ma rady, trzeba było rozkaz wypełnić. Poszedł po to bydło i takowe do obozu późno w nocy przyniósł. Pędząc woły, z rzeźnikami się zapoznał, którzy, jak przyszło do dystrybucji mięsa, darowali mu ogromną polędwicę, którą on sam upiekł i kolegów swoich, do których życzliwi mu oficerowie przyłączyli się – nakarmił. Wieczera ta, jak mówił, więcej mu smakowała jako każda inna w Kawie Angielskiej [paryska restauracja Café Anglais] lub u Frères Provençaux.

Rozdział 3

O bitwie pod Magentą i o całej wojnie nie będę się rozciągał, gdyż przedmiotem opisu są ostatnie momenta mojego syna. Jego długie konanie, testament jego, wszystko to, co nam mówił, co nam dał uczuć. Dlatego pragnę skrócić przedwstępny opis, a dać prędzej czytelnikowi zadumać się nad niesłychanie mocną naturą walczącą ze śmiercią, przy tym pocieszyć się z moralnej i religijnej odwagi – pragnącej teź nie z powodu okropnych boleści, które znosił z hartem do zadziwienia, lecz z żądzy życia wiecznego, do którego dusza jego tęskniła, i rada była jak najprędzej uwolnić się z więzów ciała, które on nazywał „cielskiem, nikczemnym prochem”.

Pismo Święte nas uczy, że Zbawiciel śmierć zwyciężył. Czarna wszelako zasłona dotąd przeraża i pokrywa zwłoki umarłych. Widok jej napętnia trwogą i żalem serca żyjących. Śmierć tego młodzieńca pokazała, że ta powłoka znika i odkrywa nam słońce przyszłości. Młodzi ją zdzierają i pięknym zgonem pokoją dusze nasze, wskazując śmierć nam starym jako wesele niebieskich godów. Nie krepa czarna, jak dotąd lecz biała szata śmierci będzie kolorem.

Bitwa Magenty nie wczas zaczęta, nie mogła być stanowczą z powodu, że plan, podług którego miała być wykonana, przez spóźnienie się korpusu, a tym samym przez niezajęcie stanowisk im przeznaczonych, nie mógł być wypełniony. Bitwa wygrana – nieprzyjaciel wyparty z obronnych stanowisk – potok krwi wylany – pole wzięte. Lecz korzyści, które można by było odnieść przez zniszczenie całkiem w odwrocie wojska austriackiego, w stosunku [do] wygranej były bardzo małe, albowiem dozwolono nieprzyjacielowi spokojnie odwrót wykonać. Dywizja gwardii grenadierów poczęła skutecznie przejsię rzeki, licząc zawsze na nadejście korpusów Cunrobera i Nicla. Znalazła się takowa naprzeciw pięć razy liczniejszego i przygotowanego na obronnych miejscach nieprzyjaciela, który pomimo męstwa i nadzwyczajnych wysiłków dywizji i gwardii nie dozwolił jej naprzód postępować; i począł zewsząd ją otaczać. Położenie było hazardowne. Gdy Mac Mahon przeczuwając, czyli prawie instynktem wiedziony, zamiast wspierać gwardię z lewego jej skrzydła pod Buffatora, debuszuje on od Turbigio, gdzie przeparał nieprzyjaciela. Wskazuje dywizjom swojego korpusu dzwonnice kościoła Magenty jako punkt, który opanować muszą i na nim orła Francji zatknąć. Dla żołnierza francuskiego dosyć jest wskazać punkt ogólny, uskutecznienie zaś tego manewru on sobie sam wskazuje. W kraju płaskim, poprzecinanym rowami, okrytym winnicami, dowodzący nie widzi o sto kroków nic przed sobą. Cała zatem wygrana polega na odwadze i orientowaniu się żołnierza – żołnierz francuski posiada to do najwyższego stopnia. Porywczosć wrodzona odejmuje mu męstwo bierne, które było dotąd zaletą wojsk obcych. Nie ustoi on długo

bezczynny z ręką spuszczoną na broni w martwym spoczynku, pod strzałami dział, na które odpowiedzieć nie może. Dowodzący jego znają dokładnie niecierpliwość swoich żołnierzy i wielkiego starania używać muszą, by go zatrzymać na przedatakowym stanowisku. Żołnierze francuscy pojmują dokładnie, że największa strata w boju jest marsz spokojny, przedłużony, nim się zbliży piersią do nieprzyjaciela. Dlatego, jak tylko trębacz lub dobosz da znak dojścia na przód, oni zaraz ciskają pakunek na ziemię, porywają broń do ataku wołając: *À la bayonette, nom de Dieu! Vive l'Empereur! En avant!* – i biegiem, jak uragan przebywają przestrzeń, która ich przedziela od nieprzyjaciela, przestrzeń pooraną kulami dział i kartaczy. Raz pchnięci naprzód, oficerowie służą im jako przewodnicy ich zapału, bacząc silnie na to, aby zanadto ich podkomendni nie zapędzili się. Trudno tam ścisłego porządku utrzymywać, lecz ten magnetyczny pęd przebija zimny i machinalny porządek wojsk przeciwnych, które [...] licząc tylko na siłę prochu, a nie na swoją własną, raz dawszy ognia, gdy wystrzał nie wstrzymał nawałnicy, nie mając czasu drugi raz broni nabić padają na kolana, proszą o życie i korzą się przed takim nieprzyjacielem.

Opowiadał mi nieboszczyk syn mój, że znalazł się z oddziałem żuawów 2. pułku i razem z nimi uderzył na czworobok austriacki. Przeskoczywszy rów, gdy z kilku innymi począł łamać palisady, dostał strzał w rękę, który mu zgruchotał kość i innych kilka kul, które przedziurawiły płaszcz i spodnie. Mimo oporu Austriaków – czworobok złożył broń przed oddziałem, co nie liczył więcej jako 120. ludzi. Ranni zostali się w cegielni, a zdrowi pobiegli w ulice Magenty.

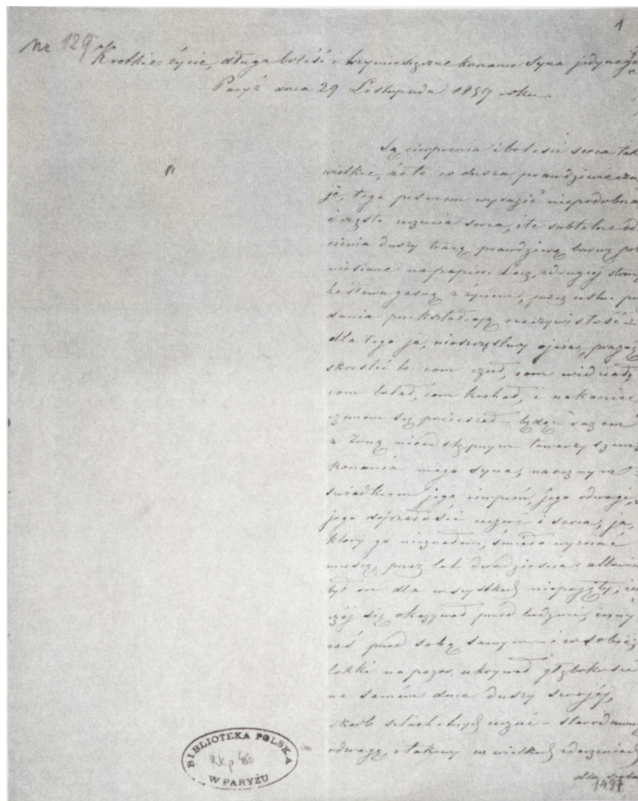
Przez nawykłą starym wojskowym ciekawość żołnierską zapytywałem się podczas słabości mojego syna, jakiego doznawał wrażenia, będąc pierwszy raz w życiu świadkiem czynnym tej wielkiej i krwawej bitwy? On, który nigdy o sobie mówić nie lubił, odpowiadał że robił swoją powinność, że bitwa, mimo poci-sków śmierci, była dla niego zupełnie obojętną i bez trwogi.

„Co do mnie, rzekł, broń mi zamokła, ani razu nie wystrzeliłem, i po części jestem kontent: nie zadałem nikomu pojedynczej śmierci; tym samym nie sprawiłem smętku ani boleści matce, siostrze lub bratu zabitego, chociaż przy każdym ataku na bagnety byłem zawsze jednym z pierwszych. Są żołnierze, co lubią zabijać z upodobania rzemiosła, robią to *con amore*. Ja tym się brzydziłem. Taka była siła moralna z naszej strony, że dość było zbliżyć się z bagnetem w rękę, by nieprzyjaciel rażony przestradchem, po danym wystrzale – nie padł na kolana i broni nie rzucił. Ja na tym tylko się ograniczałem, zwycięstwo brałem za skutek: zadawać zaś śmierć, gdy nie było konieczności – za niepotrzebne zabójstwo za zwierzęcą rozkosz”.

Marek Troszyński

Mieczysław Kamiński's last will of a soldier

Born in Lvov and brought up in France, a son of a Polish colonel, Mieczysław Kamiński set off in 1859 on a voluntary fighting route in the Italian campaign. He eventually died in Milan of injuries sustained during the battle of Magenta. The Polish Library in Paris (BPP 480) keeps an extant text expressing the father's reflections on the life and warfare deeds of his son. Childhood and youth-years memories are interspersed with a general afterthought of a soldier, former adherent of Towianism. The father, watching at the hospital by his dying son, asks him, out of soldier's curiosity, about his attitude to killing. Quite unexpectedly, the reply given by the son becomes a powerful coda crowning this 'unfinished' text.



Rkps BPP 480, s. 1497.